Oprawiono w r. 1942.

Pawlicki III 42

Przegląd literacki

Jan Śniadecki. Jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce. Przez Dr. Maurycego Straszewskiego. W Krakowie 1875. Str. III. 323 i LXXVI. in 8vo.

Śniadeccy tak głęboki zostawili ślad w umysłowem życiu narodu, że pisać nie można dziejów porozbiorowej oświaty u nas, nie poświęciwszy im obszernego wspomnienia. Jan zwłaszcza, zrazu krakowskiej, a później wileńskiej ozdoba wszechnicy, równy Jędrzejowi miłością kraju i młodzieży, niższy zapewne oryginalnością pomysłów i głębokością badań, ale za to wyższy talentem organizatorskim i administracyjnym, wyższy szerokim zmysłem politycznym, wyższy siłą charakteru, wywarł wpływ ogromny na oświatę kraju, jednakże nie pismami swemi, bo z tych część wielka dopiero wtedy ukazała się, gdy wpływ słynnego astronoma albo już na schyłku był albo nawet ustał zupełnie. Autor przeciwnie, co mu za główny błąd poczytuję w układzie książki, tak się obszedł z Janem Śniadeckim, jak gdyby przeważnie był literatem i tylko pismami

swemi wzbogacił literaturę. Razi to tem bardziej, że powszechnie wiadomo, jako starszy Śniadecki tylko dla praktycznych potrzeb i pobudek brał się do pióra. P. Straszewski, czasem to przypominając czytelnikom, najczęściej sam o tem zapominał, za czem poszło, że zbyt obszernie, zbyt drobiazgowo nad niejedną zastanowił się rozprawą, która w małem kółku znajomych przeczytana, nie wywarła prawie żadnego wpływu na oświatę narodową.

Hojność taka byłaby mniej nieprzyjemna, gdyby nie o stanowisko Śniadeckiego w dziejach oświaty, lecz jedynie o skrupulatne wyliczenie wszystkich jego zasług piśmienniczych chodziło autorowi. Tutaj zaś stała się ona niepotrzebną rozwlekłością, zwiększoną ciągłemi powtarzaniami, w których te same myśli prawie w tych samych słowach i w tym samym wracają porządku. Przy końcu rozdziałów autor streszcza na nowo, czasem kilka razy, co rozwinął poprzednio. Często myśli podrzędne, które dosyć było raz wypowiedzieć, z widocznem powtarza upodobaniem. Ileż razy ostrzega, że Śniadecki przeciwne zajmuje miejsce

we filozofii, aniżeli Kant królewiecki! ileż razy przypomina, że jedynie pod wpływem zewnętrznych, praktycznych powodów Śniadecki to lub owo napisał, a nie chcąc żadnej pod tym względem pozostawić wątpliwości, czasem to podwójnie, naprzód słowami Śniadeckiego, potem własnemi wyraził.

Zarzut rozwlekłości objaśnię przykładem. Mógł na jednem miejscu p. Straszewski krótko i jasno wyłożyć uczonego Wileńczyka zasługi i nowe poglądy w matematyce i astronomii. Tymczasem zupełnie pominąwszy obserwacye astronomiczne, główną przecież podstawę jego sławy zagranicznej, zaczyna od rozprawy „o nauk matematycznych początku" /str. 55–65/; po niej przechodzi większe dzieła matematyczne /str. 68–74/, a mimo przyrzeczenia /str. 73/, że już skończona rzecz z matematyką, rozbiera mniejsze rozprawy na str. 96 a trzy ostatnie na str. 100 i nast. Taka chronologiczna droga jest niewątpliwie dogodna dla piszącego, ale nużąca dla czytelników, a będąc niestosowną w zwykłej biografii, mniej jeszcze przydatną jest w monografii, mającej

rozliczne uczonej działalności promienie zebrać w punkt jeden i w pełnem świetle wystawić. I cóż z tąd, że chronologicznym porządkiem zestawione prace zdradzają /t. j. wykazują/ ciekawy jeden objaw umysłowego usposobienia ich autora. Czytelnicy nie zawsze poznają się na tej zdradzie, mają zresztą prawo do wykończonego obrazu. Na cóż ich było skazać na mozolne zbieranie rozrzuconych rysów i szczegółów. Czyż nie lepiej było przy rozprawie, o rozumowaniu rachunkowym którą trafnie nazwał autor, zebraniem zasadniczych myśli Śniadeckiego o matematyce, wyłożyć pokrótce, co zrobił dla tej nauki i jakie z niej myśli przeniósł do swej filozofii.

Zbyt obszernie rozwodziwszy się nad pismami i pismkami, musiał autor praktyczną rektora wileńskiego działalność zostawić na drugiem miejscu. Tej jednak wpływ na oświatę był daleko ważniejszy i wielu domagał się objaśnień, nawet po znakomitej książce Balińskiego. Ten wiele rzeczy wypowiedzieć nie mógł, a innych nie chciał. Spadał więc obowiązek uzupełnienia go na przyszłych

biografów czy monografów Jana Śniadeckiego. Autor czuł to wybornie a w części nawet i uczynił, jednakże nieszczęśliwe pierwszeństwo, dawane pismom, nie dozwoliło mu przystąpić do niesłychanie ważniejszych pytań praktycznych. Stosunek n. p. astronoma do młodzieży zasługiwał na rozbiór obszerniejszy, zwłaszcza rozprawa „o pismach klasycznych i romantycznych.” Chociaż bardzo jest słaba i zawiera nawet rzeczy „o których niepodobna pojąć, jak mogły wyjść z pod pióra tak wytrawnego”, ma ona większe w dziejach oświaty naszej znaczenie, aniżeli wszystkie pisma matematyczne Śniadeckiego razem, bo była jednym z rozpaczliwych strzałów armatnich, z któremi stare Stanisławowskie pokolenie, bardzo rozumne, ale skostniałe, pod lodowatem tchnieniem francuskich i angielskich sensualistów, ustępowało z pola przed nowem pokoleniem Mickiewiczowskiem, namiętnem, niesfornem, ale twórczem i mającem w sobie ciepło rodzinne. Są to dwa światy, odgrodzone od siebie duchową przepaścią, niezdolne zrozumieć siebie nawzajem, jak ubolewał Kajetan Koźmian.

Nasuwa się szereg pytań, których nie dotknął Baliński. Jakim sposobem stało się, że system wychowania, ułożony przez komisyą edukacyjną i pod wyłączną ludzi Stanisławowskich zostający dyrekcyą, wydał pokolenie odmiennych zasad i wyobrażeń? Czy system ten wychowania, dzisiaj jeszcze bezwzględnie chwalony, odpowiadał potrzebom narodowym? Czyż ukryta w nim niereligijność, z której nawet ludzie światlejsi nie zdawali sobie sprawy, nie była głównym powodem, że młode pokolenie poszło błędnemi torami? Nareszcie mógł także *p. Straszewski* stosunek *Śniadeckiego* do *Jezuitów* białoruskich, wystawiony niedokładnie i jednostronnie przez Balińskiego, poddać nowemu rozbiorowi, bo i tam chodziło o ważną sprawę krajowej oświaty.

Druga część książki zajmuje się *filozofią Śniadeckiego*. Usiłuje tam autor podnieść znaczenie uczonego rodaka i przyznać mu słuszność przeciw *Kantowi*. W istocie osią wątpliwej dotąd sławy filozoficznej *Śniadeckiego* jest pytanie: *czy zrozumiał Kanta i czy miał racyą wystąpić przeciw niemu*? Autor, choć zdaje się z natury pojednaw-

czego usposobienia, bardziej na stronę Śniadeckiego się przechylił. Może w tem posunął się za daleko. Wiedząc, że liczni pisarze z lekceważeniem wyrażali się o jego bohaterze, chciałby mu przywrócić najzupełniejszą sławę. Pamiętajmy jednak, że uwłaczyciele należeli do pokolenia młodego, walczącego zacięcie przeciw staremu, a we wojnie korzysta się z każdej broni. Nieprzyjaźnie romantyzmowi lub niemieckiej filozofii wystarczało, aby odsądzonym być od wszelkich zasług obywatelskich i naukowych. Wracając dzisiaj te ostatnie, komu się należą, strzeżmy się przesady. Mógł Śniadecki nie zrozumieć Kanta a być wielkim uczonym i większym jeszcze obywatelem. Wszak nie dla filozofii swojej sławy dostąpił, lecz dla gruntownej znajomości astronomii, a jeżeli ta za granicą stanowi dotąd główną jego reputacyi podstawę, to nam jego rektorstwo niesłychanie droższem jest, aniżeli oglądanie nieba. Gdybyśmy nawet odsądzili go zupełnie od nazwy filozofa, oddając mu wet za wet, bo tak samo postąpił sobie z Kantem, żadna ztąd nie stanie się ujma jego sławie narodowej, jego zasługom w krajowej oświacie.

Kant, wykreślony z katalogu filozofów, spada do rzędu marzycieli, lub nawet sofistów, Śniadecki, nawet gdy się okaże, że nie był filozofem, pozostanie na zawsze wytrawnym astronomem i matematykiem, wielkim obywatelem, niezrównanym organizatorem wychowania publicznego.

Dzieła królewieckiego filozofa były niewątpliwie wstrętne Śniadeckiemu. Przywykłemu do francuskiej jasności i elegancyi nie bardzo były mu do smaku styl ciężki i nazwy ciemne; astronomowi, który najlepsze lata swoje strawił na badaniach empirycznych, suche, aprioryczne wywody musiały wydawać się pozbawionemi wszelkiej rzeczywistej podstawy. Tłómaczy to poniekąd Śniadeckiego, ale nie uniewinnia, bo w tak ważnej sprawie, jaką jest osądzenie wielkiego myśliciela, nie wolno powodować się jakąś tam antypatyą lub zrażać się trudnościami stylu. Tak błahemi jednak powodując się względami, rektor wileński odsądził Kanta od czci i wiary, usiłował jednego z najgłębszych i najuczciwszych myślicieli zabić w opinii młodego pokolenia, które przecież bardzo wiele od niego nauczy-

się mogło. Paszkwilowi, w tym celu ogłoszonemu, dał napis „o metafizyce”, o której miał bardzo niemetafizyczne pojęcie. Straszewski sam wyznaje, że swoich zarzutów nie uzasadnił gruntownie: są one raczej gołosłownie tylko wypowiedziane i to w tonie nader Kanta lekceważącym. (str. 219).

Drugiem z pism polemicznych z filozofią Kanta, jak mówi autor książki (str. 204) a jak mówić nie można, gdyż ani z filozofią nie mógł się sprzeczać Śniadecki, ani z Kantem, który już był w grobie – jest znana rozprawa „o filozofii.” Mamy w niej dawne zarzuty a nowe obelgi, tem nieprzyjemniejsze, że przeciwnik już nie żył. I znowu wyznaje p. Straszewski, że powtarza zarzuty „najczęściej apodyktycznie, bez należytego poparcia, jakoby rodzaj wyroku na obwinionego” (str. 227). A gdy praca ta wzięła słuszną odprawę w Pamiętniku Lwowskim, ukazał się „przydatek do pisma o filozofii,” wedle p. Straszewskiego „najważniejsze i najgruntowniejsze” pismo w polemice z Kantem (t. j. we wystąpieniu przeciw niemu). Zbytnie pobłażając bohaterowi swemu, nie dostrzegł autor, że ta trze-

cia praca nie więcej warta od dwóch poprzednich. Wartość bowiem jakiejś krytyki nie zależy od kilku choćby uzasadnionych zarzutów, jeżeli te nie głównego błędu, lecz tylko drugorzędnych czepiają się usterków. Mógł Śniadecki wykazać kilka stron ujemnych w krytyce czystego rozumu, ale nie zrozumiawszy jej myśli głównej! ani nic ważnego przeciw niej nie przytoczywszy, nie zasługuje na tytuł poważnego sędziego. Gdyby p. Straszewski był mniej rozwlekłym a bardziej surowym dla filozofii wileńskiej, byłby niewątpliwie poznał, że długa obrona Śniadeckiego, mimo chwiejności swojej w końcu przyznająca mu racyą, w oczach uważnego czytelnika wychodzi na jego potępienie, a obrońcę stawia ze sobą samym w sprzeczności.

Jeżeli Śniadecki „nie zadał sobie dosyć pracy, aby Kanta do gruntu zgłębić" /str. 213/: jeśli „nie był zdolny do wykrycia tej myśli, która we filozofii Kanta była rzeczywiście nową" /str. 232/: jeżeli czasem myśli Kanta fałszywie sobie tłómaczył /str. 238/:, jeżeli nareszcie „nie dopatrzył się przewodnich myśli we filozofii Kanta" /str. 21[illegible]/

to bezstronny czytelnik, byleby rozrzucone tu i owdzie sądy zachował w pamięci, wyciągnie ten wniosek niechybny, że krytyka Kanta podjęta przez Śniadeckiego, jest bezzasadną i niesprawiedliwą, bo drugi nie zrozumiał pierwszego a nawet nie zadał sobie dosyć pracy, aby go zrozumieć dokładnie.

Rzeczywiście miał Śniadecki bardzo liche wykształcenie filozoficzne. Starożytnej filozofii nie znał wcale lub coś o niej posłapał z drugiej albo z trzeciej ręki. Nic w jego pismach ani życiu nie pokazuje, że się rozczytał w Platonie i Arystotelesie i tych dwóch największych ludzkiej myśli przedstawicieli przyswoił sobie należycie. Śmiałem pociągnieniem pióra przemazał dzieje helleńskiego i średniowiecznego myślenia, to jest lat dwa tysiące, i poprzestał na kilku francuskich i angielskich sensualistach i naturalistach, dodawszy do nich kilka okruchów z Leibniza, kilka nie bardzo łotnych poglądów szkoły szkockiej. Czyż wtedy zdziwimy się, że naukę Kanta uważał „za Platonizm, podłatany myślą Pytagorasa, zamieniony na dogmatyzm, zalany wszystkiemi brudami scholastycyzmu".[2]

Przekonany jest autor, że astronoma naszego nie odpychała w Kancie treść nauki, lecz metoda i styl /str. 207/. Wistocie spotykamy się w „filozofii umysłu ludzkiego” z niejedną myślą godną Kanta, zwłaszcza w teoryi czucia i pojmowania. Tłómaczę to sobie wpływem Jędrzeja, który będąc fizyologiem lepiej poznał się na Kancie i niejedną myśl, której Jan strawić nie mógł w niemieckim oryginale, podsunął mu na nowo pod formą przyjemniejszą. Mimo to sam Śniadecki nie byłby zgodził się na sąd p. Straszewskiego, gdyż nie tylko dla metody, lecz i dla treści odrzucał naukę Kanta, bo mu się zdawała urojoną. I dziwna rzecz, że p. Straszewski jak często, tak i tym razem sam ze sobą w sprzeczce, to samo mówi na str. 239, zarzucając Śniadeckiemu, że nie tylko metodę, lecz i treść nauki Kantowskiej potępił.

Poczytuje Kantowi za grzech wielki p. Straszewski, że scholastyczną, lub raczej arystotelesową różnicę między materyą a formą, przeniósł do teoryi wiedzy ludzkiej. Powiada razem ze Śniadeckim, że to wyraz ciemny, dwu-

znaczny, trudny do zrozumienia. Własnym jednak stwierdza przykładem, że łatwiej ganić, aniżeli zrobić lepiej. Kant nazwał przestrzeń formą widzenia, a p. Straszewski sposobem pojmowania (str. 235). Pytam czy sposób jaśniejszy od formy? A Śniadecki, mający zawsze pretensyą do jasności, mówi, że materyały pojęć są w stworzeniach świata a fundament w konstytucyi duszy. Czyż materyały i fundament są lepiej określone od formy i materyi? Jest więcej podobnych wyrażeń w Śniadeckim, na pozór jasnych, w rzeczy samej ciemnych. Mógł zresztą tu i owdzie Kant niesłusznie zastosować się do swoich pomysłów scholastycznej kategoryi, przez co jednak nic ona nie traci ze swej wartości. Śniadecki nie poznał się na niej, gdyż o prawdziwej scholastyce nie miał wyobrażenia; ale dzisiaj po pracach historycznych Rittera, Ueberwega, Stöckla, Jourdain'a i tylu innych, nietylko dla scholastyki wielki szacunek mieć należy, lecz i dla kategoryi formy i materyi, która po raz pierwszy uchwycona przez geniusz mędrca ze Stagiry, później przez koryfeuszów scholastyki wielce udoskonalona, przeszła do życia

kościelnego i wielowiekowa ustaliła się tradycya. W każdym sakramencie chrześcijańskim spotykamy się z formą i materyą — lekceważyć żadną miarą nie można, co za sobą ma tak ogromną, tak starodawną powagę.

Pomijam wiele innych szczegółów a nawet całą „filozofią umysłu ludzkiego." Trzebaby na nią odpowiedzieć rozprawą, nie kilku stronnicami, a powątpiewać się godzi, czy popłacałaby praca taka. Są w niej rozrzucone trafne myśli, ale daleko w niej więcej błędów, z których kilka autor sumiennie wykazał. Na uznanie zasługuje także pilne jej porównanie z książką podobnej treści Stewarta. Punkt jeden chciałbym poruszyć, drażliwe pytanie, czy był Śniadecki sensualistą? Struve odpowiada, że nim jest, autor zaś stanowczo temu zaprzecza. Inni, którzy pisali o tej sprawie, albo za pierwszym idą, albo za drugim. Sądzę, że tak o Śniadeckim, jak o wielu innych filozofach polskich trudno powiedzieć, czem właściwie są. Zdarza się np. że ktoś razem z Bogiem osobistym przyjmuje także konieczność stworzenia. Jakże go przekonasz, że jest panteistą? Wszak wierzy w Bo=

ga osobistego. To też nazywając go panteistą, nie mówisz właściwie, czem jest, lecz czem by był, gdyby chciał być konsekwentnym.

W położeniu podobnem są krytycy Śniadeckiego. Za młodu był niewątpliwie sensualistą a przy schyłku życia raczej nim był, aniżeli nie był. Struve ma słuszność, zaliczając go do sensualistów, bo w każdej klasyfikacyi nie patrzy się na kilka rysów wyjątkowych, lecz na sumę przymiotów zasadniczych. Przypuszczał astronom wileński, że człowiek czuje, myśli i chce, z czego wyprowadza odrębność duszy ludzkiej, bo to hipoteza, co wszystko tłomaczy. Nareszcie tworzy sobie człowiek moralny i społeczny porządek, a będąc związany ze światem zewnętrznym, czuje się także związanym z przyczyną wszech rzeczy t. j. Bogiem. Jakże pomawiać Śniadeckiego o sensualizm, skoro przyjmuje w człowieku życie duchowe i religijne, a sensualizm tylko zjawiska uznaje zewnętrzne? Jednakże nie prawdą jest, żeby sensualizm wprost negował zjawiska umysłowe, duchowe, wewnętrzne; twierdzi tylko, że między niemi, a zewnętrzne-

mi zjawiskami nie masz istotnej różnicy. Ażeby oczyścić Śniadeckiego ze zarzutu sensualizmu, trzebaby wykazać, że fenomena wewnętrzne w jego mniemaniu mają zupełnie inny od zewnętrznych początek. Tego jednak autor nie uczynił. Z drugiej strony nieodróżnianie czucia od pojmowania, niższych zmysłowych władz od wyższych dusznych, nareszcie kategoryczne oświadczenie, że wszystkie poznawania nasze są tylko dociekaniem, jak się mają jedne ciała względem drugich i względem nas, usprawiedliwiają dostatecznie zarzut prof. Struve'go.

Najczęściej sensualista, byleby chciał być ze sobą w zgodzie, będzie także pozytywistą. Jeżeli pozytywiści uważają Śniadeckiego za swego, mają do tego najzupełniejsze prawo. Kto razem z nim cały materyał wiedzy ludzkiej znajduje w zmysłowych wrażeniach, a wrażenia uważa za wypadek stosunku ciał czy do siebie nawzajem, czy do czucia naszego, kto nareszcie wszelką wiadomość ludzką za względną uważa, za oderwaną od zjawisk zmysłowych, dlatego istnieją tylko ciała i ciał odmiany, a nie masz pomostu

żądnego od wrażeń do prawd niezmiennych, od zjawisk do istot, od materji do ducha, od świata do Boga.

A fenomen ogólny? zapyta czytelnik. Straszewski uważa go za jedną z największych zasług Śniadeckiego, Struve za sofizmat, ja tylko za złudzenie, którem autor „filozofii umysłu ludzkiego" chciał swemu empiryzmowi dodać nieco idealnej rzeczywistości. Fenomen nigdy nie może być ogólny, ale mogą być fenomenów prawa ogólne. Te jednak według teoryi Śniadeckiego rozumowi są nieprzystępne, bo nie działają na zmysły. Złudzenie jego tem się tłómaczy, że pojęcie ogólne od kilku zjawisk oderwane, a potem nowemi zjawiskami stwierdzone, wydaje się jemu prawdziwszem od pojęcia, któremu brak takiego potwierdzenia. Natura jednak względna i zmysłowa ogólnego pojęcia przez to wcale się nie zmienia, nie przechodzi w prawdę powszechną, bezwzględną, bo na to potrzebaby wszystkie bez wyjątku fenomena sprawdzić, co dla empiryka istnem jest niepodobieństwem.

Nie mogę w końcu zgodzić się z autorem na to,

że w pismach Śniadeckiego jest wiele myśli filozoficznych, dzisiaj jeszcze żywotnich /str. 314/. O jednej z nich, o fenomenie ogólnym już wspomniałem. Pojęcie zaś filozofii jako osobnej nauki o ludzkim umyśle znosi samą treść filozofii. Empiryczna psychologia należy do nauk ścistych, przyrodnich, ale filozofią nie jest. Ta ma główne podwaliny swoje w metafizyce, a metafizyki Śniadecki nie znał. Przypuszczał jakąś sumę ogólnych praw oderwanych od nauk specyalnych. Któż jednak nie widzi, że na tej drodze nie dochodzi się do metafizyki, lecz co najwięcej do szeregu metafizyk specyalnych. Ale te metafizyki specyalne są nowem złudzeniem, bo do wydobycia, że tak powiem, kwintesencyi z jakiejś nauki specyalnej, potrzeba już mieć gotową metafizykę, powszechną, którаby przewodniczyła tej trudnej operacyi. Zamiany przeto Śniadeckiego, przeprowadzone konsekwentnie, doprowadziłyby do najzupełniejszego pozytywizmu, do zniesienia wszelkiej metafizyki. I dopiero po niewczasie przekonaliby się

badacze o prawdziwości głębokiej myśli Teodora Jouffroy, iż goła indukcya ani od zjawisk wewnętrznych nie dojdzie do pojęcia duszy, ani od zjawisk zewnętrznych do pojęcia Bóstwa.

Subiaco, w sierpniu.